

Kołobrzeg, Natęczów, Smoleńsk... i anatomia bywalca

Agata Araszkiwicz

Byłam w lipcu w Polsce, w tym także jakiś czas w Warszawie, gdzie spotkał się ze mną Marek Wasilewski, szef „Czasu Kultury” i mój redaktor naczelny w jednej osobie, by wręczyć mi... długo oczekiwane „szcotki” (egzemplarz próbny) mojej książki *Nawiedzani przez dym*. To wybór felietonów z rubryki *Cover story* i tekstów o sztuce, który ukaże się wkrótce nakładem wydawnictwa mego macierzystego pisma. Nie mogę powiedzieć, aby w tym „prezencie” zaskoczyła mnie jego błyskawiczność – od pewnego czasu z utęsknieniem, a nawet niecierpliwością czekałam na tę chwilę, jednak radość moja (nasza, wspólna) była niepomiaralna. Widok nowej książki zawsze ekstatycznie zaskakuje, mimo niepewności, jak zostanie przyjęta. Zdecydowałam, że zawiozę pokazać ją mojej rodzinie, przebywającej aktualnie w Kołobrzegu, dokąd miałam ruszyć nocnym pociągiem jeszcze tego samego wieczora. Że tak jak dla mnie, również i dla nich będzie to najlepsza niespodzianka.

Miałam jechać w przedziale sypialnym, pierwszą klasą, i wszystko przebiegało bez zarzutu: wsiadanie do pociągu (może oprócz tego, że pomimo numerowanych biletów większość pasażerów rzuciła się na dworcu biegiem do podstawionego pociągu jakby w obawie, że może on w każdej chwili odjechać jak w czasach słynnej pereelowskiej „rzeźni”, jadącej do Zakopanego, gdzie zazwyczaj „wisiało się” w ścisku pomiędzy

pasażerami, wślizgnąwszy się przez okno...), rozlokowanie w kabinie, zamówienie herbaty na rano i sama nocna podróż. Moja jasna książka (egzemplarze próbne mają zawsze białe okładki) leżała pod oknem na dnie torbki, która pomimo bogatego zdobienia metalowym zamkiem się nie zamykała, a jedną z jej cech było wygodne rozchylenie się, gdy stała w miejscu... Na pół godziny przed stacją końcową pan wagonowy – jowialny jegomość z wesołym uśmiechem pod rozłożystymi wąsami – zapukał, aby wnieść gorące napoje. Na tacy miał 12 kubków, odpowiadających 12 przedziałom w wagonie, ja byłam pierwsza. Z radosnym *small talkiem* zbliżył się do okna, aby postawić kubek na stoliku, schylił się, a wtedy pociąg gwałtownie zahamował... Cała zawartość tacy w okamgnieniu znalazła się w mojej torbie, doszczętnie zalewając lepką brunatną mazią nowiutką książkę, rzeczy osobiste, dokumenty. Chyba coś krzyknęłam, pan zaczął przeproszać i wyciągać z wrzątku te wszystkie przedmioty. Najbardziej przejęty był stanem książki – zmechacona i pofalowana, jakoś wewnętrznie brzuchata, o kolorze brudnego śniegu, cieknąca jak brudne roztopy w niczym nie przypominała rzekomego przedmiotu mojej dumy (wobec rodziny), o którym mu wspominałam. Pan pobiegł ją kapać i suszyć, choć te starania na niewiele się zdały. Gdy wychodziłam z pociągu, licząc w popłochu fragmenty bagażu, on, zajęty innymi pasażerami, z powrotem przypominał

człowieka dobrej myśli, krzyknął za mną: „Jeśli pani czegoś zapomniała, proszę się nie martwić. O 20:00 jadę stąd do Szczawnicy, to pani przyniosę”...

Zanim wyszłam z pociągu, odbyliśmy w tej dramatycznej scenerii krótką rozmowę. Zapytałam go, czy nie wygodniej by mu było z wózkiem, roznosząc ten wrzątek, przecież w przedziale mogły być dzieci albo zwierzęta... Tym razem „nic” się nie stało, ale przecież mogło być inaczej. „Proszę pani” – rzekł – „ja tu pracuję od 1973 roku i jeszcze NIGDY mi się to nie zdarzyło”... Cała sprawa zesłała właściwie do rangi trochę nieprzyjemnej, ale jednak przygody, która nas „połączyła w trwodze” w dziwnej zażyłości: ot, jeśli czegoś „zapomniałam”, to mogę wpaść po to wieczorem... Sympatyczny pan wagonowy jakby nie zdawał sobie sprawy, jak wielki, głębinowy brak poszanowania mojego czasu i wygody (o bezpieczeństwie nie wspominając) wyrażony jest zarówno w jego lekkiej uwadze, jak i w całej tej sytuacji. Nie rozumiał, że w trosce o własną godność jako pracownika kolei oraz w trosce o dobre imię firmy sam powinien myśleć o bezpieczeństwie własnym, jak i swoich pasażerów, o dbałości o należące do nich przedmioty. Zdziwiał fakt, że przez tyle lat firma (PKP) nie wypracowała bezpiecznych standardów roznoszenia porannej kawy, jeśli już uparła się, aby to robić... Ciekawe jest również to, że moja książka jako fantazyjny model „dwa w jednym” – poranna kawa i lektura odtąd nierozdzielnie ze sobą związane – opowiada tak naprawdę o tym, jak na planie symbolicznym Polska zmagając się z niemożnością zostania nowoczesnym państwem. Nawiedzani przez dym to właśnie formuła popadania w symboliczny „amok”, ufundowany na wyparciu odwagi konfrontacji i uniemożliwiający trzeźwość wglądu. Na moim próbnym egzemplarzu właśnie tytuł Na-

wiedzani przez dym pokryty jest najgrubszym kożuchem zaschłej pociągowej kawy...

Zanim wsiadłam do pociągu, a po spotkaniu z Markiem, spędziłam warszawskie popołudnie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej na zadziwiającej wystawie Polska Sztuka Narodowa... Nie posiadałam się na niej ze zdumienia. Oto jedno z najlepszych, najbardziej zaangażowanych warszawskich muzeów otwiera swe podwoje dla... odrzuconych projektów makiet pomnika smoleńskiego. Występują tu najlepsze pamiątki narodowościowego kiczu, wręcz ikony tego, co można określić epigoństwem paradygmatu romantycznego, którego nieustanne matrycowanie kultury polskiej opisywała Maria Janion. To więcej niż „sztuka narodowa”, to sztuka „narodowościowa”, która upatruje w posuniętej do skrajności użytecznej ideologicznej funkcji dzieła jedynej uprzywilejowanej formy wypowiedzi, a jej tendencyjność staje się wulgarna i estetycznie jałowa. „Narodowościowość” służy konkretnej narodowej historiozofii ofiary i wybrańca, przypomina rodzaj oderwanego od świata szaleństwa. Kadłubki rozbitego samolotu przetykane kwiecistą różą, zbolęły Chrystus scalający odłamki, sugestywna miniatura samolotu z homilią w kabinie pilotów, czarne puste krzesła z parasolami jako leśna instalacja *in situ* – to dominujące motywy wizualne, dosłowne i uproszczone, acz pełne emfazy... zbyt taniej. Wszystko w przychylnych, chłodnych murach muzeum, bez żadnego komentarza, kontekstu, bezpośredniego dialogu. Po prostu. Któryś z krytyków napisał o „abdykacji kuratorów”, ale to więcej niż abdykacja – to programowa nieobecność, która zakrawa na szyderstwo i urąga tej gościnie. Usłyszałam komentarz, że skoro muzeum przez cały rok pokazuje sztukę lewicową, to raz wzięło „w gościnę” sztukę prawicową... Ale również ta równowaga jest fałszywa (to tak +

jakby przez cały czas pokazywano sztukę dobrą, a raz dla zasady złą)... W samej proporcji tkwi rodzaj perfidnej zasadzki. Obiekty sztuki w tak bezpośredni sposób zaangażowanej w aktualną ideologię polityczną nie mogą wystąpić tylko w roli „muzealnych eksponatów”. Ich przekaz, nie zanihilowany jakimś bardziej wchodzącym w dialog kontekstem, pozostaje w ruchu natarcia. W pozorowanej „neutralności” wystawy widzę rodzaj podskórnego triumfu retoryki Kaczyńskiego i uniesienia narodowymi fantazjami spod znaku Powstania Warszawskiego... Oto młode polskie elity kulturalne są wobec niego może i zdystansowane, ale bezradne. (Niczego nie tłumaczy też fakt, że wystawa była częścią ekperymentalnego politycznego Berlin Biennale 7 kuratorowanego przez Artura Żmijewskiego – „biało-czarna” wizja nie tłumaczy ani natury polityczności, ani tym bardziej skomplikowanych relacji zarządzających zbiorowymi fantazjami; podobna bezradność wobec zbiorowego polskiego uniesienia smoleńską tragedią była zresztą widoczna w filmie Żmijewskiego Katastrofa).

Nazajutrz rano stałam więc na kołobrzeskim peronie pośród chaotycznie rozrzuconych bagaży, z cieknącą torbą i myślałam: „Smoleńsk (techniczne braki, obniżone standardy i bezwarunkowy kult ułańskiej fantazji), tak, Smoleńsk everywhere”.

♦

W mojej książce jako jeden z ostatnich, znajduje się tekst o Smoleńsku. Zwyczajowo do tej rubryki Cover story przygotowuję sobie wcześniej jakiś wątek, jednak po tragedii samolotu odstałam od niego – nie mogłam..., musiałam o niej pisać. Teraz podobnie. Do numeru o podróżach chciałam napisać o czymś innym, ale wydarzyła się ta kołobrzeska odyseja. Tymczasem podczas mej ostatniej

podróży do Polski odbyłam dwie „wewnętrzne” podróże: jedną na krótko do Kołobrzegu, a drugą, wcześniejszą i o wiele dłuższą, do... Nałęczowa. I było to wspaniałe odkrycie.

Zacznijmy od tego, że pośród typów „turyستów” i „podróżników” ja należę do... typu „bywalców”. Turysta zwiedza powierzchownie, podróżnik podróżuje „w głąb”, a bywalec... chce bywać, ale nie ukrywając fałszu własnego statusu. Bywalec nigdzie nie jest do końca u siebie i wszędzie potrafi odszukać namiastkę własnego kąta. Przemieszcza się dla przyjemności albo w jakimś z góry określonym podobnym celu, jak dbałość o swój dobrostan: fizyczny, medyczny, psychiczny, towarzyski, kulturalny. Bywalec nie zwiedza ani nie używa z góry narzuconych „obiektywnych” map i programów, lecz posługuje się strategią przygodną – używa nieznanymi miast jak bohaterowie książki, którą przeczytał, porusza się w miejscach, w których długo nie był, wedle topografii wyprofilowanej z rozmów ze znajomymi. Zawsze fragment, nigdy całość, zawsze przygodność, nigdy totalny plan. Nie używa poradników turystycznych ani informatorów kulturalnych, a jeśli już je czyta, to jak powieść w obcym języku. Bywalec nie chce odkrywać, lecz raczej poznawać, nie chce podbijać, lecz raczej śledzić. Nie szuka nowych miejsc, ponieważ chętniej odwiedza te, które już zna, odświeżając swój kod dostępu. Nowe miejsce kusi go, by uznać, czy odtąd będzie tam jeździł ciągle, czy raczej bywał tam przypadkiem. Bywalec ceni wygodę bycia nie u siebie, ale w przejrzystej przestrzeni, subiektywnie fascynującej w takim stopniu, że jej powtarzalność nie daje się wysycić. Bywalec podróżuje partykularnie, unikając zbiorowych form. Nigdy nie przekonuje nikogo do racji swoich wyborów. Nie pokazuje zdjęć, nie zachęca do swoich tras. Wie, że nigdy nie zrozumie się z turystą ani z podróż-

nikiem, a inni bywalcy mają swoje miejsca, gdzie lubią bywać. Bywalec uczestniczy jakby „z boku” (podczas gdy turysta widzi swoją pozycję jako „z góry”, a podróżnik „z głębi”). Gdy siedzi w lokalnej kawiarence, nie tyle ma wrażenie, że staje się jednym z tubylców albo że ich już nigdy nie zobaczy, ile że nie są mu obcy, bo już tu bywał... (bardziej naturalne dla niego jest miasteczko niż dżungla). Bywalec zawsze „zna”, ale „chciałby lepiej poznać” lub „zatrzymać się na dłużej”. Jego mapa bardziej odpowiada jego emocjom niż poznawczym celom. Bywalec obcuje z pejzażem historycznym albo krajobrazem tak, jak obcuje się z innym podmiotowym bytem – jest z nim w relacji, którą pielęgnuje podczas bywania.

Te przypadkową, przygodną, partykularną formułę „bywalca” ukułam dla siebie w okresie, gdy się okazało, że jestem ciężko chora. Z jednej strony, wyjazd na wakacje, zwłaszcza w ciepłe strony, był korzystny, z drugiej strony, kondycja podróżnej wymagała, aby podróż była jak najbardziej wygodna, zwłaszcza do miejsc kumulujących wygodę i wypoczynkowe propozycje. Podróż samochodem z przystankami na południe Francji albo do Włoch okazała się idealna, tak idealna, że potem już nigdy nie chciałam nic zmienić. Nie znaczy to, że zawsze jadę w to samo miejsce albo robię to samo, ale model podobny, a geograficzna orientacja zbliżona. Z roku na rok zarzuciłam bycie turystą albo podróżnikiem i zaczęłam coraz bardziej czuć się jak bywalec (gdyby dołożyć do tego dynamikę regularnych, z natury medycznych, ale głębinowo bardzo metafizycznych, powrotów-podróży do Warszawy, to obraz zyskuje pełnię). Na pewno wpłynęły na to ograniczona kondycja fizyczna i potrzeba wzmoczonego poczucia wygody. Na mojej trasie bywalca dominuje stara Europa, a zwłaszcza miejsca słynące z właściwości leczniczych, takie jak francu-

skie Vichy czy belgijskie Spa. Odwiedzenie więc podwarszawskiego Nałęczowa było prawdziwym olśnieniem.

XIX-wieczna stolica wód leczniczych mimo ogromnej bliskości nie jest kierunkiem nadto warszawskim, dlatego nigdy tam wcześniej nie byłam. I od razu tego pożałowałam. Stary park zdrojowy z dominującym malowniczym stawem i rozrzuconymi zabytkowymi budynkami sanatoriów spowodował, że natychmiast chciałam się tam czuć jak bywalec (a przynajmniej mam gorącą nadzieję, że nim pozostanę). Nowe sanatoryjne budowle mieszczące się w parku mają kameralny charakter, ale rozrastają się w środku w zasobną przestrzeń do codziennych czynności, oferując też izolację. No i przede wszystkim aura i powietrze, zaraz po miękkiej, aksamitnej nałęczowskiej wodzie (sprzęt do zabiegów wodnych wyprzedza najlepiej wyposażone znane mi placówki francuskie). Przyjeżdżający do Nałęczowa przeżywają rodzaj nałęczowskiego zarażenia. Za lekturę obrałam sobie Kroniki Tygodniowe Bolesława Prusa, który pisywał je dla „Kurierza Codziennego”. Prus został tu wysłany przez swojego lekarza i przyjechał z niechęcią, ale natychmiast oczarowały go niepowtarzalny mikroklimat i urok wtedy jeszcze bardziej nieskalanej nałęczowskiej przyrody. Stał się fanatycznym orędownikiem Nałęczowa, co zrozumiałam jeszcze lepiej, gdy stało się to i moim udziałem (ton łagodnieje, wyliczanie zalet tego miejsca brzmi jak litania, styl staje się łzawy). W Kronikach wiele opisów poświęconych Nałęczowowi (zwłaszcza w miesiącach letnich) brzmi prawie jak płatna reklama...). „Chyba już piętnaste wakacje przepędzam w Nałęczowie – pisał – i jeszcze nie mam go dosyć, czego nie mógłbym powiedzieć o innych letnich miejscowościach”. Pasjami opisywał zalety picia wód i kąpieli, portretował kuracjuszy i lekarzy, +

a wszystko to, by podkreślić atrakcyjność leczniczą, towarzyską, organizacyjną i finansową Nałęczowa. Być może „podróże lecznicze”, mając tak typowy rys starej Europy, najlepiej wytyczają kierunek, który w naturalny sposób obierają bywalcy (dawni i współcześni)? W XIX wieku podróżowanie oznaczało w dużej mierze chwilowe „bywanie” gdzie indziej, ale „życie światowe” i „towarzystwo” miały wszędzie podobny charakter.

Prus namiętnie robił też wycieczki w przeszłość, aby przywołać jej świetność. „Nałęczów ma historię. – donosił – Pomijam wiek XV. W końcu XVIII zamieszkał tu Stanisław Małachowski, założył park i [...] wybudował pałac. Była to wielkopańska rezydencja: ma ogromną salę balową, ogromne komnaty, kuchnie i piwnice, z czego dziś korzystają... demokratyczni kuracjusze”... Między rokiem 1807 a 1823 Nałęczów wyrósł na znaną miejscowość leczniczą: kąpał się tu nawet książę Adam Czartoryski. XIX-wieczne powstania przerwały tę passę, park i okalające go budynki popadły w ruinę. Pod koniec stulecia, w latach 70. trzech lekarzy-sybiraków postanowiło przywrócić mu dawną świetność. Prus cytuje fragment korespondencji z lat 20. XIX wieku: „Ci, którzy bardziej z nalogu, niż z potrzeby trwonią pieniądze na zagraniczne kąpiele, mogą wygodnie i korzystnie przepędzić kilka miesięcy w Nałęczowie”, by powtórzyć jej aktualność 70 lat później. Uśmiechnęłam się do siebie, czytając te słowa jeszcze kolejne 150 lat potem...

Jedynie, o co można się lękać w tak doborowym miejscu, to to, że nie jest ono należycie wypromowane i nie odwiedza go za wiele turystów-kuracjuszy. Ogromny kompleks zmodernizowano i unowocześniono w imponujący sposób, ale całej tej inwestycji brakuje narracji, brakuje opowieści, czyniących go atrakcyjnym i pożądanym (tak jak umiał zrobić to Prus, a przecież

literackich i artystycznych legend jest dużo więcej, nie wspominając Żeromskiego, który przeniósł się tam na stałe i można podziwiać jego przepiękną, utrzymaną w góralskim stylu pracownię, położoną niedaleko parku). „Podróże lecznicze” również nie są w Polsce modne i kojarzą się z linoleum wieczorków zapoznawczych w pereleowskich sanatoriach. A bez wątplenia (np. we Francji) są one znakomitym turystycznym kąskiem nie tylko dla bywalców i pacjentów. Wobec pustki w XIX-wiecznym parku można się obawiać, że przeinwestowane nowoczesne sanatorium nie przetrwa zbyt długo.

„Zasłużyłbym na nazwę «lubego niewdzięcznika» – pisał innym razem Prus – gdybym siedząc od kilku tygodni w Nałęczowie, nie poświęcił mu pochwalnej ody... Żaden kochanek nie tęskni tak do przedmiotu swoich marzeń, żaden nie śpieszy z taką radością, żaden z takim zapalem nie próżnuje u boku ukochanej, jak – niżej podpisany – w Nałęczowie. Miałbym więc, jak pospolity uwodziciel, splamić się obojętnością i nie wyśpiewać pochwały jego wdzięków teraz właśnie, gdy tulę się do słodko zaokrąglonych pagórków, oddycham jego tchnieniami, przedzieram się przez bujną roślinność i – tonę w tajemniczych jarach”... Erotyczna metaforyka oddaje opętanie wręcz oddanie Prusa aurze Nałęczowa. Podzielałam to opętanie, zastanawiałam się więc, czy opisać Nałęczów jako miękkiego, zwinnego kochanka... Ale właśnie przypominam sobie, że z jego powodu dopełniłam już jednej poważnej zdrady... „Nałęczów absorbuje choremu wszystek czas jak zazdrosna kochanka” – donosił ciągle Prus – a „dla piszących jest tym, czym była Kapua dla armii Hannibala. W Kapui rozpróżniaczyli się kartagińscy żołnierze, w Nałęczowie rozwałkoniają się [...] literaci”... No właśnie. Byłam w Nałęczowie. I dlatego oddaję z takim opóźnieniem ten tekst... ●



BOOKAREST

PREZENTY

"KSIĄŻKI NIE TYLKO OD ŚWIĘTA

Księgarnia Bookarest ♦ ul. Półwiejska 42
61-888 Poznań ♦ tel. +61 859 61 25
www.bookarest.pl
www.facebook.co.Bookarest

NOTES NA 6 TYGODNI

najnowsza
kultura
i sztuka
dizajn
i architektura

Dostępny w ponad 100 galeriach
i kawiarniach ponad 20 miast Polski.

www.funbec.eu



www.ceeol.com
Central and Eastern European Online Library

Build your own CEE archive
from more than 50.000 scholarly
and cultural articles provided

- by 310 journals
- from 25 countries
in 23 languages

Access is available per personal
account or institutional subscription

info@ceeol.com • Phone: + 49 69 686025 0 • Fax: +49 69 65009682

pismo tradycja folkowe muzyka świata i okolic

Gadki z Chatki

Jedyne w Polsce pismo
o współczesnych inspiracjach
folklorem i muzyką ludową:

**muzyka, muzycy,
wydarzenia, poglądy,
wywiady, recenzje,
zapowiedzi...**

Dostępne w EMPiK-ach

Adres redakcji:

Gadki z Chatki

ACK UMCS „Gatka Żaka”

20-031 Lublin, ul. Radziszewskiego 16

tel., fax: +81 53 332 01 w. 114

e-mail: gadkiorion.umcs.lublin.pl

www.gadki.lublin.pl